

W REDAKCYJNEJ szafie mam duży, biały karton. Ze zdjęciami. Prawdziwymi zdjęciami. Na papierze. Sporo ich. Niektóre są kolorowe, ale większość czarno-biała. Choć czas, o którym mówią, nie był czarno-biały. Chciałbym pokazać niektóre z nich. Wydobyc je z mojego dziennikarskiego archiwum, ale i z archiwum pamięci.

„Dowiecie się panowie o czynach krwawych...”

To zdjęcie zrobiono w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, zapewne w sali Bogusława, 24 marca 1971 roku (data na jego odwrocie). Po przedstawieniu – jeśli zważyć na pełny kostium aktorów – a może tylko po próbie „Hamleta” Szekspira w reżyserii Józefa Grudy. On sam – w krawacie, z rulonem w ręku (dyplomem? może listem z inscenizacji?) – siedzi wśród aktorów. Od dnia premiery minęło kilkadziesiąt dramatycznych dni, które zaważyły na życiu kraju i wpisały się mocno w tożsamość Szczecina. Bo tamten „Hamlet” był swoistym postscriptum do wydarzeń Grudnia ’70. A może i należałoby powiedzieć, że był właśnie owego Grudnia częścią.

Zamek w Elsynchronie

Jedno można rzec na pewno. Nie było w historii Szczecina wydarzenia artystycznego, które mogłoby się równać z rzeczonym „Hamletem” pod względem jego rangi – która nadana została mu od razu, a i wpłynęła na późniejszą legendę, składową etosu inteligenckiego Szczecina – aktualności społecznej i politycznej.

Przedstawienie grane w sali Bogusława, z aktorami siedzącymi wśród publiczności i krążącymi po krągankach, stało się z miejsca gorącym komentarzem do sytuacji po tragicznych „wydarzeniach grudniowych” – pod którym to eufemistycznym mianem kryła się rewolta rozpoczęta strajkiem Stoczni Szczecińskiej.

Józef Gruda (ur. 1916), ówczesny szef Państwowych Teatrów Dramatycznych w Szczecinie (więc i obu ich scen – Teatru Współczesnego i Polskiego), był reżyserem szczególnie emocjonalnie traktującym sprawę narodu i społeczeństwa, wyczulonym na rzeczywistość i obdarzonym zmysłem publicystycznym. Rok wcześniej wystawił w Szczecinie – już po raz drugi! – „Wesele” Wyspiańskiego. Pełne gorących polemik ze współczesnością, diagnoz społecznej kondycji, zwłaszcza inteligencji – świetnie przyjęte w kraju. Główną postacią tej inscenizacji był Dziennikarz – grany przez Wacława Ulewicza – toczący spór ze Stańczykiem (Antoni Szubarczyk). Nie dziwi, że to Ulewiczowi powierzył w „Hamlecie” rolę tytułową.

Pamiętam tego „Hamleta” na szczecińskim zamku, którego renesansowy wystrój, ale i kamienny chłód, rozpalony dramatycznymi zdarzeniami, nawiązywał do szekspirowskiego Elsynchronu nie tylko w scenografii. Byłem na przedstawieniu ze swoją licealną klasą. Wiedziałem jak i inni, że padające z ust aktorów kwestie to nie tylko klasyka elżbietańskiego teatru, ale i nasze polskie Tu i Teraz. Pisałem potem o tym domowe wypracowanie. Co w nim było dokładnie? Mgliście sobie przypominam, że zrozumienie dla społecznych kontekstów spektaklu, ale i pewna rezerwa wobec jego artystycznego kształtu. Może trochę uzasadniona, bo w recenzjach, jakie się ukazały potem w kraju, entuzjazm dla wymowy Hamleta ’70 (Andrzej Wróblewski na łamach „Teatru” nazwał to przedstawienie „najdojrzalszym” w dorobku Grudy, „reżysera chorego na Polskę”) szedł często w parze z krytyką „pewnych słabości aktorskich” (patrz Zygmunt Greń, „Czwarta ściana”, Kraków 1972). Wszyscy jednak odczuli go jako doniosłą wypowiedź na temat ówczesnej Polski.

Oczywiście Gruda nie planował „wpisania” się w jakieś konkretne wydarzenia i nie sądził pewnie, pracując nad spektaklem, że one nastąpią tak nagle i po prostu. Ale był wspaniałym sejmografem nastroju – antycypował je, wyczuwał, nim coś jeszcze się w naszym życiu zdarzyło. Choć tu trafił doprawdy w dziesiątkę. Szekspir mówiący o hańbiącej zbrodni i nieprawości „w państwie duńskim” przejmująco zrymował się z gwałtami i kłamstwem w PRL.

Drastyczne wstawki

Eryk Krasucki w swej książce „Przesilenie. Szczecińskie społeczeństwo i władza w styczniu i lutym 1971” (IPN, Szczecin 2010) pisał: „Przedstawienie (...) było specyficznym głosem w toczącej się na ulicach, w domach i fabrykach dyskusji o tym, co się kilka tygodni wcześniej wydarzyło, oraz o tym, co widoczne było na co dzień.” I cytował Jerzego Kwiatka – ówczesnego sekretarza Wydziału Kultury KC PZPR, który po

latach dziesięciu, na łamach kwartalnika „Morze i Ziemia” (1981) – mówił o wrażeniach ze spektaklu: „Działała oczywiście podwyższona temperatura okoliczności politycznych. Osobiście nie sądzę nawet, aby Gruda dokonywał jakichś szczególnych zabiegów, by sztukę zaktualizować. Raczej w realizatorach przedstawienia, i w nas, znajdujących się wówczas na widowni, treść «Hamleta» musiała się zespolic w jedno z tym wszystkim, z czym do tej sali przyszlismy. Reszta dokonała się sama”. Można by dopisać – cytując właśnie „Hamleta” – „Reszta jest milczeniem”.

A przynajmniej stała się milczeniem – szybko – w ówczesnych mediach. Jakże znamienne, że w recenzjach publikowanych na bieżąco – jak choćby tej z łamów „Głosu Szczecińskiego” Z. Wrzosa (Zdzisław Sośnicki) – pochwały dla przedstawienia ani jednym słowem nie dotyczą jego bezpośrednich związków z rzeczywistością. Że pilnowano, by te związki były jak najslabsze, widać w dokumencie, który Krasucki zamieszcza w swej książce.

W dziennym raporcie sytuacyjnym sporządzonym przez I zastępcę komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Szczecinie, płk. Romualda Głowackiego, z 15 stycznia 1971, znalazła się tajna opinia: „Na próbie generalnej spektaklu (...) aktorzy markowali wstawki słowne dotyczące aktualnej sytuacji politycznej. Najbardziej drastycznym przejawem tego był akapit w monologu Horacego (przyjaciela Hamleta)”. Tu autor raportu cytuje ów monolog razem ze „wstawkami”, ale – co ciekawe – najmocniej dziś brzmią w nim nie owe wstawki, a słowa napisane przez Szekspira: „Dowiecie się panowie o czynach krwawych, o przypadkach zabójstw, o śmierci zadanej podstępnie pod przymusem...”. Nietrudno sobie chyba wyobrazić, jak musiały brzmieć w Szczecinie, w którym ledwie wybrzmiały strzały i wciąż nie potrafiiono się doliczyć rannych i zabitych.

Hamlet... sekretarzem partii

Jeśli spojrzeć na to zdjęcie, trudno się w nim jednak dopatrzeć wszystkich tych okoliczności. Ot, sympatyczna koleżeńską fotka z okazji spektaklu, który się chyba – co widać po uśmiechach – udał i być w nim fajnie. Horacego, który tak podpadł SB – grał go Andrzej Saar – w tej grupie brak. A kto jest? Patrzę od lewej – posiłkując się odręcznie (długopis) notatką na odwrocie: „Wacław Ulewicz – Hamlet, Kochanowa – Ofelia, Jerzy Erntz – Klaudiusz, Marta Grey – królowa, Józef Gruda”. Nie wiem, kto zapisał te nazwiska, ale w zapis wkradły się błędy i nieścisłości: aktor grający króla nazywał się nie Erntz, lecz Ernzt. A Kochanowska (nie Kochanowa!) miała też imię – Elżbieta. Widocznie z profilu aktora, tuż nad Grudą, w ogóle nie podpisano.

Chyba tylko u Ulewicza można odczytać w twarzy radosne napięcie i ekscytację godną spektaklu i granej przezeń roli – patrzy w obiektyw z bliskiem w oku, i z czytelną satysfakcją, że ma udział w czymś ważnym. Inni w konwencjonalnych pozach; Ernzt aż przesadnie. A Gruda? Zadowolony, lecz jakby trochę nieobecny.

Naprawdę nazywał się Witold Kościółkowski. Był jedynym synem ppłk. Mariana Zyndrama-Kościółkowskiego, działacza niepodległościowego i pilsudczyka, żołnierza – uczestnika wojny 1920 roku i odbicia Wilna przez gen. Żeligowskiego, wybitnego polityka – piastującego w II RP różne funkcje: m.in. prezydenta Warszawy, ministra spraw wewnętrznych i premiera (1935-36).

Trudno się dziwić, że jako jego syn – Zyndram-Kościółkowski zmarł w Londynie tuż po wojnie – wołał przyjąć pseudonim. Wywodzący się, podobno, z czasów wojny (Gruda był, jak ojciec, żołnierzem i konspiracyjnym), a i po wojnie – służący mu w życiu artystycznym. Gorzki i ziemi blisko. Bo i był na co dzień Gruda człowiekiem skromnym, niewynoszącym się nad innych, cały spełniał się w teatrze; choć sprawowanie

funkcji dyrektora szczecińskich scen szło mu czasem, rzeczywiście, jak... po grudzie. I nie zawsze z przyczyn politycznych, choć władza – z którą prowadził boje – była wyczulona na jego patriotyczne i społeczne pasje i patrzyła mu uważnie na ręce. Po siedmiu latach dyrektorowania i szesnastu pracy w szczecińskich teatrach w ogóle – wyjechał stąd, po „nagłej rezygnacji” – jak pisał Z. Sośnicki – choć była ona raczej

– grała Ofelię na zmianę z Ireną Oleką – ale zdaje się, że i w kwestii polityki odmiennie niż Ulewicz. W Szczecinie nie grała ani nic wielkiego, ani wiele. Nie wiem kiedy, ale wyjechała chyba do USA. Jakiś czas temu przypominała się w kraju – jako „aktorka polonijna” Kochanowska-Michalik – w programie telewizyjnym „Poza cenzurą”. No tak, Kochanowska w Chicago, a cenzura wciąż szaleje!



wymuszona – zniechęcony, rozżalony. Paradoksalnie to po jego odejściu szczeciński teatr nabrał wiatru w żagle – podzielony na dwie samodzielne sceny. W kraju Gruda nie zrobił już niczego na miarę szczecińskich sukcesów. Zmarł w maju 1981. W czasie gwałtownym, pełnym nadziei, i trudnym.

Jego szczecińska legenda – ożywiana okazjonalnie, ale zwykle anegdotycznie – odchodzi jednak w zapomnienie; nie wspomogła jej dotąd żadna poświęcona mu książka, choć byłby jej z pewnością wart bardziej niż niektóre tutejsze „gwiazdy”.

Goryczą naznaczona jest także postać Ulewicza. Urodził się w roku 1937 na Wołyniu. Jako aktor związany był ze Szczecinem dość krótko, w latach 1967-1974, ale intensywnie. A kilka jego kreacji (wspomniany Dziennikarz w „Weselu”, Fouquier-Tinville w „Oskarżycielu publicznym”, też w reżyserii Grudy) zapisało go na stałe w dziejach tutejszej sceny. Miał w sobie siłę i pasję, potrzebę kontaktu z publicznością, a klasyczny strój, który nosił czasem na scenie, był zwykle kostiumem dla żywej, współczesnej w tonie interpretacji roli. Dobrze czuł się też na planie filmowym – debiutował w „Hubalu”, grał w kilku telewizyjnych serialach; najwięcej w latach 80., gdy często obsadzano go też w roli... sekretarza partii.

Paradoks godny Hamleta ’70. Którego grał kiedyś – wbrew tradycji stawiającej na refleksję – dynamicznie i z oskarżycielską, wymierzoną we władzę pasją. Polskie drogi, szekspirowskie dylematy... O ile zresztą sekretarz z „Krótkiego dnia pracy” Kieślowskiego (1981) to rola godna i znakomita, o tyle inne jego role z filmów Poręby (np. sekretarz „dobry szeryf”) w „Gdzie woda czysta, trawa zielona”) już nie. Na dodatek przylgnęła doń niezbyt wtedy zaszczytna etykieta „aktora Poręby”. Ostatnią jego sceną były warszawskie Rozmaitości. Zmarł młodo, miał ledwie 53 lata.

Tajemniczy Ozyryk

A inni z fotografii? Nie wiem dokładnie, jak potoczyły się losy Elżbiety Kochanowskiej

Marta Grey grała w Szczecinie więcej (kostium – królewski też – ją lubił), acz i ona nie zapisała się dużą rolą na kartach szczecińskiej sceny. Inaczej Jerzy Ernzt (1924-2008), aktor pierwszorzędny, obdarzony własnym image, z lekką manierą, charakterystycznym gestem; umiał być miękki, a i drapieżny, przykry – tak właśnie jak lisi, zdradziecki Klaudiusz z „Hamleta”. Podobnie jak W. Ulewicz wyjechał ze Szczecina w roku 1974, ale wrócił po dwóch latach, aby stać się mocnym filarem zespołu Współczesnego, na którego scenie grał aż do emerytury w 1990. Zmarł we Wrocławiu. Doceniony tuż przed śmiercią jubileuszem 60-lecia pracy scenicznej.

A kim jest aktor niepodpisany na odwrocie? Długo dociec nie mogłem. A warto było szukać, bo – czego w końcu doszedłem – zagrał on w „Hamlecie” ważną rolę Ozyryka. Postaci tajemniczej, wieloznacznej, czujnej – milczącego zausznika władzy i animatora jej poczynań. Tym Ozyrykiem był Janusz Mirczewski (ur. 1931). Zdaje się, że bawił w Szczecinie krótko. Jego sceniczny los związał go potem z Warszawą m.in., a znalazł zwieńczenie w liceum społecznym im. Jerzego Grotowskiego, gdzie przez lat kilkanaście był nauczycielem... retoryki. Miał wtedy siwą brodę. Ale jego charakterystyczny podbródek z przedziałkiem odkryłem – co pomogło mi go w pełni zidentyfikować – na kadrze z filmu „Godziny nadziei” (1955). Ubrany jest na tym foto w mundur żołnierza LWP. Ale raczej nie dlatego spoczywa – od roku 2003 – na wojskowym cmentarzu na Powązkach.

Marzec 1971, Zamek Książąt Pomorskich. Grupa aktorów i ich reżyser. Kto wie, może jeden z ważniejszych dni ich scenicznej kariery. Dużo światła, wiosna blisko.

Na odwrocie zdjęcia nie ma podpisu autora. Domyślam się, że zrobił je Stefan Cieślak. Jego już też nie ma między nami.

Artur D. LISKOWACKI